

1942, 1943, 1944



KRZYSZTOF KAMIL BACZYŃSKI

1942, 1943, 1944

[Motto i dedykacja]

A nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, a duszy zabić nie mogą,

(Mat 10, 28)

*Doskonałemu poecie, najlepszemu synowi,
radości moich oczu, chlubię mego serca,
który mimo to jest krwią z krwi i kością
z kości mnie — niedoskonałej
tę „rzecz ziemską” na gwiazdkę — daję —*

SB. 24. XII. 42 r.

[Śnieg jak wieko żelazne...]

Śnieg jak wieko żelazne na oczy opadnie.
O! wy bracia w milczeniu moi — niedorośli.
I Bóg mnie nie przypomni, ani mnie odgadnie
z nagrobka przechodzący, aż w tysiącznej wiosnie
może dłoń jakaś biała odgarnie ciemności
i będzie to prawdziwy czas, czas tej miłości,
której u was nie znałem. Bóg — tak sobie marzę —
w błękicie lotnym nieba wyrysował twarze
naszym cierpieniem, niby maski jasne,
które przymierza tym, tym zapomnianym
czasem podobne rysom, a czasem za ciasne,
aż trafi — wtedy krwawe zasklepią rany
i taka błogość nieba osiada w błękicie,
że wraca czas zbłądzony, choć nie wraca życie.

Znacie wy, znacie te organów knieje
co wyrastają niby skał mocarny obryw
nawet tutaj na ziemi? — To są te nadzieje.
Jeśli w popiele zgrzebnym taki blask podobny
bożym chyba zamysłem przed oczy się jawi —
nic są te ciemne ciała, które zbrodnia trawi,

nic są te dymy czarne, ta kurzawy ciemność.
To wszystko nic. I żadna trumna nadaremno.

Bóg tchnął jasność. On mocą łagodnego wiosła
pchnął fale burz tajemnych i lawy stuleci,
i co woda pobrała — to woda odniosła.
On świecił nad tą wodą i jak zawsze — świeci.
Śnieg jak wieko żelazne na oczy opadnie;
popiół zostanie z żarów miłości i gniewu,
a na ziemi dalekiej żaden czas nie zgadnie,
jak rośnie niewidzialnie łask wszelakich drzewo.

22. XI. 1942 r.

Świętość

Począłem cię w marmurach światła
i w drzewie wonnych sosen,
moja ty rzeko nieodgadła
dłutami wiosel.

Potem cię wiodłem z gór mocarnych,
z przestworów pełnych głosu,
gdzie noże siklaw śniegi darły
i dzwonił śpiew jak mosiądz.

Łuskałem cię z jabłek tęgich
i ziarnem gradu z chmury,
wiodłem cię z łodyg ruchem ręki
jak blasku sznury.

I wyciosałem, wyprosiłem
sercem łomocąc w dłuto,
a dłutem w głaz, i mam cię — siło!
mam cię — pokuto!

Gdzie stąpnę — tętnisz żywą strugą
i jak organy śpiewasz,
i widzę jeszcze we śnie długo —
płynące w tobie drzewa.

A w twojej grzywie iskier złotych
nocą nużają krwawe pyski
rude szakale, ludzie — młoty,
miecze i ślepiów błyski.

I z nich to rosną nocą w tobie
kręte gałęzie trupich ramion,
upiory czarne, serca w grobie,
co sercom kłamią.

I oto mam cię, rzeko święta
jak konar w ciebie wrosły

rzeko zbrukana, z chmur poczęta,
nieodgadniona wiosłem.

dn. 25. XI. 1942 r.

[Dokąd to jeszcze?]

Dokąd to jeszcze? Ten cień stoi we mnie
jak obraz wieczny mego zatracenia,
rdzewieje tarcza i gorzknieje ziemia
pod zamyśleniem moim obosiecznym.
O, bo ja jestem mieczem krzywdy wszelkiej,
przez moje ręce wyciągnięte we śnie
wędrują grzechy jak milczące węże
i wytryskają z palców jako pieśni.
I czego dotknę, to się łzą pokryje
jakoby rosą, tylko że tak słoną,
że się nie pięścią — całą ziemią biję
w pierś, której nigdy win nie odpuszczono.
O, bo i jakże odpuścić, że człowiek
zapomniał głosu, mówiąc w bożej mowie.

Poezja, Grzech

I gdzie postąpię, pęknie mi pod stopą
ostatni kamień, a dalej już ciemność,
i jestem jak ten pierwszy człowiek po potopie,
który zawinił. Więc wtedy nade mną
też blasku nie ma i w dłoni mi próżno,
jakby z niej krzyż wyjęto i włożono topór,
i jestem duszą smutku po ciałach podrózną
i jestem sam i ziemi tępy opór.

O, żeby chwila jedna, dzban by dano
ze źródłem chłodnym, żeby klątwę zdjęto
i żeby serce — sercem, a nie raną,
i żeby droga choć w konaniu — świętą,
i niebo mnie nie skrywa jak ziemi powieka,
i śniegu nawet nie ma, który mię pokryje,
tylko jak głosy łzami po omacku ryję
jak cień, jak cień strudzony, co zgubił człowieka.

6 XII 1942

Narzeczona

Ona stojąc w jeziorze ręce obraca do góry
i z nich unoszą się z wolna kwiaty i białe motyle,
kiedy pod kolanami w wodzie mkną ciche chmury,
niebo się szybko przetacza. Ona się fali przychyła
i bierze w dłoń otwartą jak w pyszczyk różowy kuny
niebieskie łódzki wody, które się prężą jak struny
i grają cicho i miękko:

Kobieta, Woda

«W kwiaty nas zamień, panienko».

Więc ręce zwraca w górę, i krople wypryska wysoko,
czyni z nich liście i jabłka, węże i srebrne jaszczury;
zanim opadną znowu, jeszcze podobne są głogom,
co kwitną. Potem, gdy spadną, przemkną w nich szybko chmury.
Ona się z wolna zwróci, unosząc z sobą odbicie,
nie wiedząc jeszcze, czy w sobie, czy w wodnym obrazie prawdziwa,
patrzy w kryształ powietrza i widzi dalekie życie,
raz zapylone trakty, to znów potoków grzywę.
Nie wie i jeszcze czeka. Wtedy na brzegu, w kotlinie,
rycerz ogromny przystaje i jabłko wyciąga na dłoni,
błękitne jak kropla nieba. Ona ku niemu płynie,
powietrze w krąg rozgarniając, co jak pod skrzydłem dzwoni.
Potem ich las zamyka. I tylko drzewa dojrzałe
tak samo stoją w głębinie, jakby najmocniej kochały.

Miłość

z XII 1942

Wina

Wśród drzew, co są jak płaskie, zielone motyle,
święty Jerzy cwałuje po czerwonej ścieżce
na koniu, co się wznosi, a za nimi w tyle
czeka mała dziewczynka, włosy ma niebieskie.

Smok się wydał i oczy błękitne wyłupił,
zanim go dopadł rycerz — trzykroć blaskiem rzucił
i zginął. Głupi smoku! O rycerzu głupi,
to wszystko takie krótkie, a już się nie wróci
ani tobie pelzanie po zaklętych sadach,
ani tobie modlitwa w czarnych winogradach¹.
Truchło leży, paruje z niego zieleń śliska,
jeszcze się gwiazdki jakieś z husk przebitych sypią,
i rycerz zadumany stoi, mieczem błyska,
tak pół czuje niepokój, a pół gorzką litość.

Smutek

Cóż to, mała dziewczynko o niebieskich włosach,
czemu płaczesz? Smok leży, zabity gnębiciel.
Nasłuchujesz oddechów jego w nocy głosach?
Wspominasz to niezdarne, smutne, smocze życie
i że śpiewałaś czasem jak potok szczęśliwie,
wsparta na jego miękkiej, wypłowiałej grzywie?

Wina

I wraca święty Jerzy tam, gdzie lasu smuga
kończy się i zaczyna trakt suchego pyłu,
a na postojach ciemnych marzy mu się długa
smocza szyja przebita i oczy, co były
wypukłe i żałosne, i głos, i łzy słyszy,
i gorzko płacze zbrodni pod sklepieniem ciszy.

grudzień 1942

¹winograd — winnica. [przypis edytorski]

Polacy

Oto rozmawiam z cieniami rycerzy
w głuchej, wygasłej urnie mojej ziemi,
a głosy jak organy rosną i strudzeni,
tyle wieków zwalając, co nad nimi leżą,
tyle serc w jeden kamień skutych, nim odwalą,
jak ciemność stygną we mnie i jak wiatr się żalą.

O! Straszne, straszne dzieje. Widzę morza głuche,
ziemię z niebem złączoną, a jak step w posuchę,
i tętent burz pod ziemią, i tłumy wśród ogni
wijące się jak węże pocięte w kawały,
i twarze, twarze groźne, o! twarze podobne
obliczom w śnie zabitych. To znów nagle wały,
mury, miecze się wznoszą, krzyk rozcina ziemię;
a potem cisza. Tylko stoją nieme
posągi bohaterów — trzech lub dwu herosów,
a popod nimi przepaść zieje — do dna głosu.

Jeszcze, jeszcze pochody na dalekich łądach,
gdzie huragany armat rwą na strzępy ziemię,
na morzach lśniących, gdzie zamknięci w prądach
mocują się z żyłami golfstromów pod niemi.
I jeszcze, jeszcze dalej — gdzie stąpną — zwycięscy,
I tam jeszcze, w ojczyźnie, z dłońmi zgorzałemi,
tam zawsze podeptani, tam zawsze na klęsce
jak na trumnie orkanu — wieniec serc na ziemi.

I tak mijają lata: rzeki, miasta niosą
jak czarną krę pożogi odbitą aż do dna,
i ciemność, ciemność głuchą. Wyje ziemia głodna
rykiem z pól wyoranym, wydartym z pogromów,
a na niej stoją widma rozrąbanych domów,
gdzie na zgwałconych sercach pohańbione ciała,
jakby się męka boża w ludziach ciałem stała.

o straszne, straszne dzieje. Huczy czas nad nami.
Kiedy z szubienic dzwony sinych ciał zagrają,
wywloką nas na bruki pokrajane łzami,
na oświęcimskie kaźnie i warczącą zgrają
do gardeł nam przypadną. My będziemy żyli
i tysiąc lat po śmierci w gałęziach szubienic,
płoszący życie z ślepi tych, co nas zabili.

Ja rozmawiam z cieniami umarłych rycerzy
nad grobowiskiem ziemi, sam jak krzyż zgorzały,
i mówię: „O, przeklęty ten, który nie wierzy
wystygłym prochom ludu i serc żywych grozie;
bo kto na swojej klęsce — klęskę ducha mierzy,
o! tego nie wybawi płomienisty orzeł.
Bo kto nie kochał kraju żadnego i nie żył
choć przez chwilę jego ognia drzeniem,
choć i dniu potopu w tę miłość nie wierzył,
to temu żadna ziemia nie będzie zbawieniem”?

O, wybudujcie domy, o, nazwijcie wreszcie
Polskę — Polską, nie krzywdą, a miłość — miłością,
i niechaj biegną rzeki, a na każdym mieście
niech słup srebrzystych skrzydeł tryśnie jako kościół,
kościół ciał odkupienia. Każdy jako posąg
śró d liści, nie z marmuru, stoi — sobie mały,
ale rosnący w kształtach jak jabłka dojrzałe,
wszyscy razem w kopulę, co odbije głosy
wałnych trąb archanielskich jak lawiny nieba,
by chleb był dla miłości, nie miłość dla chleba,
by czas był tym rosnącym, a nie krwi łakomym.
O, wybudujcie domy, jasne, wielkie domy.

23. XII. 42 r.

[Nie stój u ciemnych świata wód...]

Żonie

Nie stój u ciemnych świata wód,
gdzie sny mozolne kłębią się i dławią,
kiedy nad nimi czerwone korabie²,
smoki ogniste i obłoków łódź.

O, nie wywołuj po imieniu zła,
o, nie wywołuj przed milczącym lustrem,
tam każde oczy staną mdłe³ i puste
i pokalana nocą każda twarz.

Nie szukaj, nie patrz w mroczny grób,
gdzie ocienione chłodem zgniłej woni
nawet strzeliste świeczniki jabłoni
i ciało barbarzyńskie — jak gotycki trup.

Grób

Oto się liście z łodyg tęgich rwą,
jak żywe gwiazdy lecą, jak motyle lśnią
nad ludzką nędzą ciemną i kaleką
i dźwięk wydyma kwiaty na kształt złotych trąb.

Poszukaj tam, w splątanych burzach traw,
w naczyniach roślin napełnionych życiem,
gdzie w kroplach deszczu czeka cię odbicie
Boga żywego w lunach żywych barw.

Bóg, Natura

Liście po żyłce odczytaj do dna,
aż w oczach twoich jak drzewa wytrysną,
aż duchy światła w powietrzu zawisną.
Naucz się życia, co przez życie trwa.

Nazwij się w ogniu, w kołysaniu wód,
w niedosięgalnych mocach powstawania.

²korab (daw.) — statek. [przypis edytorski]

³mdły — dawniej także: słaby. [przypis edytorski]

Wtedy nie starczy słów i ukochania —
— poczujesz owoc nieba na końcach ostrych kłów.

28 XII 1942

Ziemia

Ziemia miłości, ziemia ludów święta
jest jak długa niepamięć, jak jezioro mroku,
przez huragany mroźne czarnym lodem ścięta,
stoi w sobie milcząca jak w grobie wyroków.

Tak wypłoszeni z czasu, my, którzyśmy śmieli
Boga zwać po imieniu i ludzi po czynie,
myśmy czasów nie znali innych, nie widzieli,
a groza w nas przeminie, gdy życie przeminie.

My na środku lodowisk, nie znający domu,
pod śniegami — kamienie i pod gliną — głazy,
ci sami katorżnicy my z kamieniołomów,
ścigani po ulicach i liczący razy
kijów ciężkich, wygnańczych, o! bo nas wygnały
jak sine ciała — z duszy, jak upiory — z ciała.

My po nocach u ściany chłodnej zaczajeni,
w krokach wężący śmierci, w drzew poświście — bata,
w ziemię świętą zamknięci jak w głuche więzienie.
O Panie apokalips! Panie końca świata!
znajdź głos swój i przybitych nad trumien obszarem
wywołaj; głos włóż w usta i w dłonie włóż karę.

15. I. 1943 r.

Wróble

Dzień wróbli i jasności!
w dzbanuszkach małych ptaszków
świat się ustał miłością,
niefrasobliwą łaską.

Na wyciągnięcie ręki
mam czystość ich, puszystość,
jakbym dotykał ciebie
gałęzią ich — wielolistną.

Niebo się ziemi skłania
leżąc śniegiem na drzewach,
oczy mrużysz, zasłaniasz,
piórka w blasku nagrzewasz.

Ptak

Nie zerwiesz się, nastroszysz
ciepło ptasiego futra,
odpowiesz wróblim głosem
w moją ciemność — malutka.

Bo na tym śniegu ludzie —
— my z ciemnymi sercami.

Ziemię przez nas zabita,
rzeszą twych ptaków czystych
módl się za nami!

Modlitwa

2 I 1943

Co jest we mnie

We mnie — góry ciężkie wiatr podnosi,
ponad chmury — groźne młoty jak ciężary,
i rozrywa je mocarnym tchem i głosem,
a zamienia w niepodzielne burz obszary.

Potem morza, które szarpia stropy ciemne,
gwiazdy z bliska biją we mnie ogniem,
poryk gromów, co pod stopą rwą podziemne
bramy blasku — żadnym bramom niepodobne.

I ta ziemia cięższa od orkanów
we mnie ciasnym z hukiem się obraca
i rozdarty nią jak głazem rana
czekam Boga, który nigdy nie powraca.

Ziemia, Bóg

Albo ptak zimowy w śniegu na mnie woła,
długie pola pod nim, pola smutku,
gdzie się cisza zmienia w głuchy łuk kościoła
i tak w wieczność wchodzę po cichutku.

Albo jeszcze góry cięte strugą
jak wstrzymany pęd obłoków we mnie wstąpią
i jak w rzece zamyślenia długiej
smoki białe w mym odbiciu się wykąpią.

I powrócę między ludzi w gniew i miłość
w kruchym ciele, w nieostrożnym, w szklanej trumnie,
tak poczekać w tym, co jest, i w tym, co było,
całą wieczność tak przeczekać, nim zrozumie.

Ciało, Czas

1 I 1943

Obozy

Gdy na niebo wieczorne spienione gwiazdami
wypływa ciężki okręt,
a siwi marynarze wysoko nad nami
sieci spuszcza w dół,
my jesteśmy tam w dole jak dzieci samotne,
co zrywają jagódki z umarłego krzewu
gorzkie i czarne, gorzkie i czarne owoce,
kiedy nad nami stoją dni i noce,
ciemności szumi drzewo.

Błogosławimy dni mleczne i krowie
i cień lipowy, i liści lot,
i krew, co płynie po ściętej głowie,
my zawsze pewni, zawsze gotowi
na sąd: co dobro, zło.

Błogosławimy straszne pociągi
odjeżdżające w smutek bez granic —
— z nich jęk jak dym. — To jadą ranni,
uczuc skręcone kabłąki.

Błogosławimy pola bitewne
i mądrość ludów, i mądrość maszyn,
krzywdy i wiary, i żale rzewne.

Grozo! Ojczyzno nasza!

Wtedy jesteśmy jak dzieci samotne,
a oczy ciemne i drapieżne są,
kiedy zapuszcza sieci ciężki okręt
i chwyta nas za fale wyciągniętych rąk.

Dźwigaliśmy brzemiona, broń czarną dźwigali
i śpiąc w obozach dusz wspólnych i ciemnych,
takeśmy z wolna pozapominali
snów — nie daremnych,
że uchwyceni przez sieci rybacze,
porwani w górę i rzuceni obok,
słyszymy: ziemia pokonana płacze,
ale nie śpiewa zwycięski obłok.

Próżne⁴ miłości były nasze ciała,
bo nie dość było pokochać gromadzie
tą rozdzieloną na tysiąc miłością,
co nas prowadzi.

O, bo i nie dość było kochać jedno,
i tak czujemy, ziemi oddaleni,
jak nas rozdziera ogromna samotność —
nieba powolne milczenie.

19, 20 II 43 r.

⁴próżny — tu: pozbawiony. [przypis edytorski]

Ojczyzna

Miłość, Samotność

Deszcze

Deszcz jak siwe łodygi, szary szum,
a u okien smutek i konanie.
Taki deszcz kochasz, taki szelest strun,
deszcz — życiu zmiłowanie.

Dalekie pociągi jeszcze jadą dalej
bez ciebie. Cóż? Bez ciebie. Cóż?
w ogrody wód, w jeziora żalu,
w liście, w aleje szklanych róż.

I czekasz jeszcze? Jeszcze czekasz?
Deszcz jest jak litość — wszystko zetrze;
i krew z bojowisk, i człowieka,
i skamieniałe z trwóg powietrze.

A ty u okien jeszcze marzysz,
nagrobku smutny. Czasu napis
spływa po mrocznej, głuchej twarzy,
może to deszczem, może łzami.

I to, że miłość, a nie taka,
i to, że nie dość cios bolesny,
a tylko ciemny jak krzyk ptaka,
i to, że płacz, a tak cielesny.

I to, że winy niepowrotne,
a jedna drugą coraz woła,
i to, jakbyś u wrót kościoła
widzenie miał jak sen samotne.

I stojąc tak w szeleście szklanym,
czuję, jak ład odpływa w poszum.
Odejdą wszyscy ukochani,
po jednym wszyscy — krzyże niosąc,
a jeszcze innych deszcz oddali,
a jeszcze inni w mroku zginą,
staną za szkłem, co jak ze stali,
i nie doznani miną, miną.

I przejdą deszcze, zetną deszcze,
jak kosy ciche i bolesne,
i cień pokryje, cień omyje.
A tak kochając, walcząc, prosząc
stanę u źródeł — studni ciemnych,
w groźnym milczeniu ręce wznosząc;
jak pies pod pustym biczem głosu.

Nie pokochany, nie zabity,
nie napełniony, niedorzeczny,
poczuję deszcz czy płacz serdeczny,
że wszystko Bogu nadaremno.
Zostanę sam. Ja sam i ciemność.
I tylko krople, deszcze, deszcze
coraz to cichsze, bezbolesne.

Melancholia

Rozczarowanie

Przemijanie

Kondycja ludzka

ukończ. 21 II 1943

Lodowisko

Gdzie stanę, widzę słup powietrza,
od tych oddechów złych zamazły,
w którym spojrzenia chłodne gwiazdy
i ta mijania trwoga wieczna.

Straszne, strzaskane ludzkie wozy,
ciała bez sumień, ciemne węże,
gdzie się odwrócę, za mną prężą
— w zwierciadle lodu — oczy grozy.

Trup

I zanim słowo płomieniste
jak drzewo ptaków tryśnie w niebo,
za mną się ciała ich kolebią
i spada głos jak zły listek.

I zanim dłoń uniosę w górę
i chmur wędrówkę kreślić pocznę,
widzę te oczy złe, wyroczone
i te spojrzenia, co jak sznury.

I pobojuwisk węzowiska,
i mrówki ciemnych słów oblepią,
i zamaznięta przestrzeń, niebo,
i droga szklana stoi, śliska.

A jeszcze widzę krajobrazy,
gdy się unoszą jako domy
po tych wybuchach — niewidome,
a w krajobrazach zimne twarze.

I czuję, jak mi dłoń przymarza
jedna z płomieniem u niebiosów,
a druga w ziemi — próżna⁵ głosu,
jak wbita w glinę spadła gwiazda.

28 II 43 r.

[Ziemia jak ognia słup...]

Ziemia jak ognia słup. Tnie bat;
a nie zna czasu — kamień kruszy,
na oślepie rzeźbi ciemne dusze
w zwalistych trumnach lat.

I katorżnicza huczy noc,
pod niebem skośnym ogień dławi,

⁵próżny — tu: pozbawiony. [przypis edytorski]

i jęk szubienic jak żurawi
u studzien pełnych głów i rąk.

A kiedy ryczy butów huk
po twarzach żon i synów, matek,
to każdy trup jest żywych bratem,
co orzą swój ojczysty grób.

Trup

My mamy usta — szabli sztych,
od głodów wyschłe, z grozy sine;
my mamy oczy — śmierci krzyk —
— celne, co trafią krwawą winę.

My mamy serca — młotów młot,
co przez stulecia ziemię kuły,
szybkie jak ostry cios jaskółek
i orlich skrzydeł — orli lot.

Serce

Przez nasze oczy próżne⁶ łez
o ziemio! płyn polami swemi,
aż każdy z garścią wolnej ziemi
będziem szturmować czas, co jest
jak popiół wiary. Wzniesiem dom
żelazny — ludom, burzom, snom.

Dom, Ziemia, Ojczyzna

7 I 43 r.

[*Oddycha miasto ciemne długimi wiekami...*]

Oddycha miasto ciemne długimi wiekami,
spowiada miasto ciemne dawnych grobów żalność;
rozrąbane żelazem, utulone snami,
nie nasycone płaczem, nie spełnione chwałą.

Nie wierz, jeżeli ci się ulice pogłębią
i staną się jak otchłań, w której śmierć się przyśni,
powierz swą myśl mieniącym się nad nią gołębiom
i obłokom kwitnącym jak gałęzie wiśni,
i chmurom, które zawsze te same tam, w górze,
jak oblicze tęsknoty wykutej w marmurze.

Nie wierz nawet pragnieniom, jeśli cię zawiodą
nad brzeg spalonych domów i każą ci skoczyć
przez wytłuczone okno do czarnych ogrodów,
ażeby na zhańbione prochy — zamknąć oczy.

Ale uwierz tym głazom, co z kamieni bruku
jak psy zdeptane wyją i krwią ludu chluszczą,
i rwą się nie pomszczone, i o bramy tłuką.
O! niech ci one będą jako słowa ustom,

⁶próżny — tu: pozbawiony. [przypis edytorski]

niech ci wydrapią czułość z wzroku i krew z rany,
abyś kochając wieki, sam był pokochany.

O pij, pij te ciemności z zawalonych ruder,
przyjmij w siebie to miasto gromów, które biją,
tych Kilińskich, Okrzejów, jak oskardy trudu,
i kiedy runą w bruki — niech w tobie ożyją.

Stań się krzywdą i zemstą, miłością i ludem.
O, chwyć za miecz historii i uderz! i uderz!

II. 43 r.

Warszawa

Bryła ciemna, gdzie dymy bure,
poczerniałe twarze pokoleń,
niedotknięte miłości chmury,
przeorane cierpienia role.

Miasto groźne jak obryw trumny.
Czasem głuchym jak burz maczugą
zawalone w przepaść i dumne
jak lew czarny, co kona długo.

Wparło łapy ludzkich rojowisk
w głuchych ulic rowy wygaste,
warcząc czeka i węższy groby
w nocach krwawych i w gromach jasných.

Jeszcze przez nie najeźdźców lawa
jako dym się duszny przewlecze,
zetnie głowy, posieje trawy
na miłości, krzywdzie człowieczej.

Jeszcze z wieku w wiek tak się spieni
krew z ciemnością, a ciemność z brukiem,
że odrośnie jak grom od ziemi
i rozewrze niebiosa z hukiem.

Bryła ciemna, miasto pożarne,
jak lew stary, co kona długo,
posąg rozwiany w dymy czarne,
roztraskany czasów maczugą.

I znów ująć dłuto i rydel,
ciąć w przestrzeni i w ziemi szukać,
wznosić wieki i pnącze żywe
na pilastrach, formach i łukach.

I w sztandary dąć, i bić w kamień,
aż się lew spod dłoni wykuje,
aż wykrzesze znużone ramię
taki gład, co jak serce czuje.

Miasto, Warszawa,
Cierpienie, Śmierć, Ruiny,
Odrodzenie

10 II 43 r.

[Byłeś jak wielkie, stare drzewo...]

Byłeś jak wielkie, stare drzewo,
narodzie mój jak dąb zuchwały,
wezbrany ogniem soków żrałych⁷
jak drzewo wiary, mocy, gniewu.

Naród, Cierpienie, Żyd,
Powstanie, Walka

I jęli cię cieśle orać
i ryć cię rylcem u korzeni,
żeby twój głos, twój kształt odmienić,
żeby cię zmienić w sen upiora.

Jęli ci liście drzeć i ścinać,
byś nagi stał i głowę zginał.

Jęli ci oczy z ognia łupić,
byś ich nie zmienił wzrokiem w trupy.

Jęli ci ciało w popiół kruszyć,
by wydrzeć Boga z żywej duszy.

I otoś stanął sam, odarty,
jak martwa chmura za kratami,
na pół cierpiący, a pół martwy,
poryty ogniem, batem, łzami.

W wielości swojej — rozegnany,
w miłości swojej — jak pień twardy,
haki pazurów wbiłeś w rany
swej ziemi. I śniesz sen pogardy.

Lecz kręci się niebiosów zegar
i czas o tarczę mieczem bije,
i wstrząśniesz się z poblaskiem nieba,
posłuchasz serca: serce żyje.

I zmartwychwstaniesz jak Bóg z grobu
z huraganowym tchem u skroni,
ramiona ziemi się przed tobą
otworzą. Ludu mój! Do broni!

Walka, Zmartwychwstanie

IV 43 r.

Wiatr

Wiatr bluzga, jak krew się sączy,
na oczy — ciemności płachta,

Wiatr, Trup

⁷Żrały (daw.) — dojrzały. [przypis edytorski]

w nim omackiem błędząc
czuję miękki opór pnączy.

A to są ciała chyba, chyba groby,
chłodne jak wody pręty,
to są ramiona trwogi
ludziom zmarłym odcięte.

Wiatr niesie piachu żagiel,
nasmuża się na nas cienko —
— to woda, może wydmy nagie?
Ledwo nad wierzchem ręką
znak pożegnania odfrunie,
nowe piasków sklepienie
wiatr wzdyma w ciemnej łunie,
toniemy, pożarci przez ziemię,
gdzie sami jesteśmy dnem.

Będziemyż sobie jak posąg
wydarty pokrywom wieków?
Znajdziemyż kruszyny włosów
z tych czasów na skroni zostało?

Wołam cię, obcy człowieku,
co kości odkopiesz białe:
Kiedy wystygną już boje,
szkielet mój będzie miał w ręku
sztandar ojczyzny mojej.

Patriota

18 IV 1943 r.

O wolność

Przebudziły się w nas zwierzęta
i duchy mleczne się budzą.
W dzień podobni jesteśmy złym ludziom,
w noc zwierzętom płonącym w cierpieniu,
to znów bestiom krzyczącym w rui,
to znów cierniom w swych oczach człowieczych;
rozdzielonym, niespokojnym i czułym
ciała ciężą jak twarde rzeczy.
A na niebie chmur bitwa łagodna,
a na ziemi chrzęst kości i stali.
Jakichśmy warg otchłanie całowali,
że ssą nas w grób złe i głodne?
Jak przemierzyć ten lęku obszar,
od bojuwisk odedrzeć nieboskłon?
Ludzie źli, ziemia dzika — coraz młodsza —
— dziecko niedobre, co zabija troską.
Rozerwały się miłości jak korzenie.
Nachmurzone stoją burze — drząc.
Tylko jeszcze tchem, co idzie z ziemi,
wbiliśmy na oślep harpun rąk,
porywani przez wyjący mroków pożar

jak zwierzęta, co za kratą śnią,
których pragnień żaden czas nie zmoże.

20.IV.43 r.

Do przyjaciela

J. Andrzejewskiemu

Jak daleko jest od słowa do słowa!
A dalej chyba do mocnego jak sosna
wypełnienia się w uśmiechach prostych,
które wiążą jak wstążka rzeki
powitania, boje nasze dalekie.
Cóż jest więcej nad gest niewidoczny,
przerzucony jak zielona struna
nad miastami huczącymi w łunach,
nad stawania się obłok mroczny?
Mostek wiotki, taki śpiewny, pomocny.

I nie grzmiące to nasze witanie,
nie olbrzymie, ale ręką, gdy dotkniesz,
jest jak deska dębowa od łez mokra,
która błyszczy się, tęga i dobra,
na kołyskę i na trumnę sposobna.
A i krzyż z niej strugać można, no i kostur,
co zieloną grzywę liści puści z wiosną.

Bo się wierzy, że milczenie to śpiewanie,
a jak śpiewać, to Bóg nas tak śpiewem łączy.
Jeśli głosy będą jako dech gorący,
co roztopi dni topory, grób roztuli,
tośmy dobrze, przyjacielu, Boga czuli.

21.IV.43 r.

Ciemna miłość

Leżymy w łóżu mrocznym jak na dnie strumienia
wyschłego. Włosy długie, poplątane wioną,
rozdzielają się, łączą jak smugi cierpienia
i niosą się jak ścieżki ku dalekim stronom.
Tu u nas zła tarnina rośnie tak po brzegu,
biała czasem, a czasem jest jak rozpacz dłoni,
i armie ciężko dzwonią jak wykute w śniegu,
w księżycach jasnych sunąc. Krzyk, parskanie koni
i czolgów ryk podziemny — jakby wydzierają
dusz trzepot nieostrożnie pobratany z ciałem.

Więc nasze ciała długie, splecione jak palce
w nocnym konaniu cierpną i wiatr, nam na twarże
niesie płatki tarniny odstrzelone w walce,
i leżą tak jak piętna pośmiertne, na miłość
strącone, aby wspomnieć, że się nic nie śniło,
bo oczy były otwarte i w śnie.

I źródła są w powietrzu, i czujemy je —
to są pociski krwi, co jeszcze trysną,
i łkania są w powietrzu — metalowy jęk,
który się w ogniu spełnia ulewą ziarnistą.
I boleść, którą kiedyś nazwiemy ojczyzną,
co teraz jest jak dziecko, które nam we śnie
umiera. Jeszcze oddech jego z ziemi drży,
bo to był mej miłości pierworodny syn.

A potem długa noc. I zrywam się z ciemności
bez zbroi, nagi, taki, jakim z ziemi wstał,
rozpleść lodygi naszych niespełnionych ciał
i być żołnierzem nocnym wiary bez litości.
I nim odejdę jeszcze, nim się broń rozpali,
widzę, jak się ten obłok twego ciała żali.

Bo ciemne, miłowanie jest na dnie człowieczem,
które pragnących traci i czystość rozdziera,
a które się do dłoni bierze razem z mieczem,
lecz się w nim cierpi długo, chociaż nie umiera.
I znów widzimy miasta płonące i dymy,
co się powoli wznoszą pnąc na stopnie niebios
i szubieniczne drzewa skrzypią, i z daleka
bic strzela i rozcina z ziemią wraz — człowieka.

A nad tym krzewy kwitną. Z pąków zielonkawe
chmury płyną. Dojrzałość lepko się przelewa.
Widnokręgiem o świtach ciągną kluczem drzewa.
I ludzie ci żałośni, w nieobeschłych gruzach,
pod namiotami cyrków, w świergocie karuzel,
unoszą się jak lachman, wśród dymu śpiew niosą
weseli. Jak wyzwanie szerniałym niebiosom.

Długie, suche koryto — jest to dno strumienia,
gdzie leżymy jak kamień pod kurzawą gwiazd.
Tyle jeszcze milczenia straszego jest w ziemi,
że chyba go wystarczy na niejedną śmierć!
Módlmy się, módlmy słowami ciemnymi!
Siejmy, o, siejmy, chociaż ziarnem serc!

3. V. 1943 r.

Dzielo dla rąk

Kiedy się w ludziach miłość śmiercią stała
i runął na nas grmiąc ognisty strop,

błogosławieni ci, co im za mała
była ta trwoga dla serc i dla rąk.

Kiedy przekłęto wszelki plód człowieczy,
aby nie cierpiał, aby nie mógł trwać,
błogosławieni byli ci, co rzeczy
nazwali nędzą poczętą we łzach.

Kiedy się krwawym szwem zszywały dzieje,
choć ziemia była jak jaśminów pęk,
błogosławiącą rękę taką samą,
łączący z niebem ton — źródłany dźwięk.

A oto mamy niebios złoty namiot,
przestrzeń jak morze żywą — a nie szklaną,
z której powstaje się i schodzi w nią,
błogosławiącą rękę taką samą,
pód którą głowy jak lzy w oczach drżą.

A tylko trzeba pojąć głos i hasło,
bo jeden krok jest jak żołnierza krok,
kiedy się wstąpi weń, to się znalazło
Boga dla wiary i dzieło dla rąk.

V 1943 r.

Zwycięzcy

Wiatr szeroki nam czoła obliże,
jak lew westchnie i przestrzeń wydmie
ponad nami. A jeszcze wyżej
luna świeśnie ogromnym skrzydłem.

Głowy nasze — owoc upalny,
rozszałałe włosów płomienie
deszcz omyje jędrny i walny,
aż się do snu schylą na ziemię.

Jeszcze chleby, jabłka jak księżyc
stół sosnowy zalegną kołem,
dłonie szorstkie, tak nieporęczne,
chleb przełamią z bożym aniołem.

A na skronie, gdy sen nas stłumi,
gdy będziemy znów ludzie prości,
blask nam spadnie i ten zrozumie,
żeśmy w wierze doszli miłości.

15. V. 1943 r.

Historia, Błogosławieństwo

Błogosławieństwo,
Obowiązek

Dwie miłości

Więc pokochałeś kruche, ciepłe ciało,
które się w formach słowicznych ustało,
jak mleko płynie w szklanym smukłym dzbanie,
skrzypiec ma smutek i roślin śpiewanie.
Więc pokochałeś je. Jak ruczaj sobie
przed oczy stawiasz, aby twarze obie:
i ta odbita, i twoją prawdziwa,
były jak jeden ruch, co poukrywa
ziemię jak pożar i niebo jak jaśmin,
na które jedno serce jest małe i ciasne.

Miłość, Ciało

I pokochałeś jeszcze ziemię grozy
z ognistym śladem wielkich kroków bożych,
ziemię, gdzie bracia popieleją z tobą,
gdzie śmierć i wielkość jak dwa gromy obok
stoją u skroni i skrzydłami biją
tym, co umarli, i tym, którzy żyją.
Więc pokochałeś jej rzek bicz srebrzysty
i białe pióra mazowieckiej Wisły,
i góry ciężkie jak chmury na ziemi,
i ludzi skutych — i tak żyjesz nimi.

Polska

I kiedy z szablą rozpaloną stoisz
u huraganów ostatniego boju,
i kiedy broń jak życie w dłoni ważysz,
a nie masz łzy na sercu i na twarzy,
gdy rzucasz ciało jak puchy świetliste,
wiotkie jak śpiew, a z nim odbicie czyste,
by mieć twarz jedną nie odbitą w ciszy,
napiętnowaną śmierci czarnym krzyżem,
myślisz, że z Boga musi być ta miłość,
dla której młodość w grobie się prześniło.

Miłość, Młodość, Śmierć,
Bóg

22 V 1943

[Niebo złote ci otworzę...]

Niebo złote ci otworzę,
w którym ciszy biała nić
jak ogromny dźwięków orzech,
który pęknie, aby żyć
zielonymi listeczkami,
śpiewem jezior, zmierzchu graniami,
aż ukaże jądro mleczne
ptasi świt.

Raj, Wiosna

Ziemię twardą ci przemienię
w mleczów miękkiach płynny lot,
wyprowadzę z rzeczy cienie,
które prężą się jak kot,
futrem iskrząc zwiną wszystko

Przemiana

w barwy burz, w serduszka listków,
w deszczów siwy splot.

I powietrza drżące strugi
jak z anielskiej strzechy dym
zmienię ci w aleje długie,
w brzóz przejrzystych śpiewny płyn,
aż zagrają jak wiolonczel
żał — różowe światła pnącze,
pszczelich skrzydeł hymn.

Jeno wyjmij mi z tych oczu
szkło bolesne — obraz dni,
które czaszki białe toczy
przez płonące łąki krwi.
Jeno odmień czas kaleki,
zakryj groby płaszczem rzeki,
zetrzyj z włosów pył bitewny,
tych lat gniewnych
czarny pył.

Wojna

15 VI 1943

Róża świata

A to jest róża świata, w której dnie spoczywam,
której płatki przejrzyste jak stronice czasu
On obraca powoli. Jak listki atlasu⁸
zwierząt ciepłe języki na ciele i grzywa
wiatru powiewa lekko. W mroku wielkie zwierzę
przeciąga się, by prężność swą do mnie przybliżyć,
i ptak wysoko śpiewa, aby niebo zniżyć
i aby się tym bliższe stały chmury ziemi,
spadły z nieba mórż krople w mleczne ciała dolin
i tak obłoki chłonąc leżą między niemi,
że krok, a poczuć można Boga wielką dłoń.

Był taki czas. On wtedy wśród włosów świetlistych
na niebie się ukazał ciemnościom ogromnym
i z mroku dobył tony, a z tonów najczystsze
imię człowiecze rzeźbił. Wtedy nieprzytomny,
na podobieństwo jego, choć z ciemności rdzenia,
stanął człowiek nieśmiały na progu stworzenia.
I nim mu się mgławice w oczach, jak w jeziorze
złote krople, ustały — Bóg mu różę podał.
I zamknęło się niebo jak zmarszczona woda,
i zacisnął krąg róży lotem — ciszy orzeł.

Bóg, Kondycja ludzka

Więc cóż? Spalone płatki zda się wiatr obraca,
nocą skrzypiąc boleśnie. Tyle grzechu było
w tym ciele, że wraz z sobą i światłość spaliło,
i karty przezroczyście w spopielały obraz
bożych natchnień zamienia. Ta róża podobna

Ciało, Grzech

⁸atlas — miękka tkanina, której jedna strona jest błyszcząca, a druga matowa. [przypis edytorski]

ciemności wielkim żaglom, które wieją głucho
nad wydmami milczenia i źródeł posuchą.

Gdzie jest ten dzban, ten kielich róży, co nawija
płatki obrazów czystych, które jedne z drugich
płyną i jedne w drugie wnikają powoli,
i jak poszept okrętów snują mity długie
o rzewnym zachwyceniu? O, jak wzrok nas boli,
otwarty, biały taki jak źrenice trupie,
w którym lądy spalone dnem do góry płyną
jak ryby martwe. A na nich umarli
z nożem przetrachu w oczach i z nicią na gardle
czerwoną. I tych dzieci ciała, co jak listki
nie zapomniane nigdy, swym puchem motylim
na wargach naszych przylgłe i w oczy nam wrosłe,
które łódź nieprawości przekreśliła wiosłem.
I kobiet najpiękniejszych rozrzucone ciała,
i piersi stratowane, i włosy o zmierzchu
jak ptaki złote lecą wysoko, po wierzchu
świata, jakby je dusze unosiły w górze
od strzaskanej miłości, co żyła w marmurze
piękna. O zły, zły synu! Tylko popiół sypie,
gdzie dotkniesz, ściany kruche, które w proch przemienia
każdy oddech bolesny i pożera ziemia.

Śmierć

A my w miłościach naszych życieśmy czekali
takie groźne jak oddech huczący lodowców,
a myśmy mieli twarze nawiedzonych chłopców,
którzy ojczyznę swą i w śmierci pokochali.

A myśmy mieli dziwne sprawy, niepojęte,
które nam ciała zmięły i oczy spaliły,
i tak się nam te karty w ciemności prześniły
i już nie ukazały serca róży świętej.

I znowu poda Bóg kwiat, co jak niebo szumi,
i wyschną wreszcie zbrodnie w nieudolnych dłoniach,
czas się przewali hucząc na rozprężonych koniach,
a naszych dziwnych spraw wiek żaden nie zrozumie.

Los

Na nieobeschłe, czarne od krwi naszej ziemię
zejdzie niebaczone na nic, nowe mrówcze plemię.

20 VI 43 r.

Śpiew do snu

Ciało mojego ciała i światło mojej myśli,
chciałbym, by ci się ogień pełen szelestu przyśnił,
z którego żółte kwiaty wyplusną, brzózek szelest
jak sieć, abyś poczuła przy ich lekkości śmielej
swój lot jak płomyk drżący, bolesny a pragnący,
by popłynęło w tobie jak szumny strumień słońce.

Sen, Ciało, Miłość,
Kochanek, Dusza

Ciało mojego ciała i blasku moich pragnień,
niech ci się we śnie gałąź niebieskiej chmury nagnie
i niech ci da jak owoc jaskółkę w piersi małe,
której by w sercu trzepot nauczył, jak kochałem
i jak ja ciebie ciosam w tej bryle nieobrotnej,
w swojego ciała drewnie, w myśli swojej samotnej.

Ciało mojego ciała i trwogi mej nadziejo,
niech ci się we śnie wody przez oczy tocząc — chwieją
i niechże ci podadzą rybę jak dłoń, co klaszcze,
byś znała to milczenie, co mnie okrywa płaszczem,
i niechaj iskry ognia, co w łusce się zapalą,
mój blask dopełnią w tobie i smutek mój wyzają.

Nie dałem ci jabłoni ziemskiej, co sytość niesie,
wyrosłem ja na chmurach jak dzika jabłoń w lesie.
Ale mam źródło w sercu srebrne jak żywy pieniądz,
unies się we śnie, spojrzuj w lustro jego nad ziemią.
Nie szukaj mnie w słabości, źródła mego nie mijaj,
nie umiera w nim ciało, dusza wieczność w nim żyje.

22 VI 1943

Pokolenie (Wiatr drzewa spienia)

Wiatr drzewa spienia. Ziemia dojrzała.
Kłosa brzuch ciężki w górę unoszą
i tylko chmury — palcom czy włosom
podobne — suną drapieżnie w mrok.

Natura

Ziemia owoców pełna po brzegi
kipi sytością jak wielka misa.
Tylko ze świerków na polu zwisa
głowa obcięta straszac jak krzyk.

Śmierć

Kwiaty to krople miodu — tryskają
ściśnięte ziemią, co tak nabrzmiała,
pod tym jak korzeń skręcone ciała,
żywcem wtłoczone pod ciemny strop.

Ogromne nieba suną z warkotem.
Ludzie w snach ciężkich jak w klatkach krzyczą.
Usta ściśnięte mamy, twarz wilczą,
czuwając w dzień, słuchając w noc.

Niebezpieczeństwo, Strach

Pod ziemią drążą strumyki — slychać —
krew tak nabiera w żyłach milczenia,
ciągną korzenie krew, z liści pada
rosa czerwona. I przestrzeń wzdycha.

Nas nauczono. Nie ma litości.
Po nocach śni się brat, który zginął,
któremu oczy żywcem wykluto,
któremu kości kijem złamano;

Okrucieństwo, Cierpienie,
Przemoc

i draży ciężko bolesne dłuto,
nadyma oczy jak bąble — krew.

Nas nauczono. Nie ma sumienia.
W jamach żyjemy strachem zaryci,
w grozie drażymy mroczne miłości,
własne posągi — źli troglodyci⁹.

Nas nauczono. Nie ma miłości.
Jakże nam jeszcze uciekać w mrok
przed żaglem nozdrzy wężących nas,
przed siecią wzdętą kijów i rąk,
kiedy nie wrócą matki ni dzieci
w pustego serca rozpruty strąk.

Żaloba

Nas nauczono. Trzeba zapomnieć,
żeby nie umrzeć rojąc to wszystko.
Wstajemy nocą. Ciemno jest, ślisko.
Szukamy serca — bierzemy w rękę,
nasłuchujemy: wygaśnie męka,
ale zostanie kamień — tak — głaz.

I tak staniemy na wozach, czołgach,
na samolotach, na rumowisku,
gdzie po nas wąż się ciszy przeczolga,
gdzie zimny potop omyje nas,
nie wiedząc: stoi czy płynie czas.
Jak obce miasta z głębin kopane,
popielejące ludzkie pokłady
na wznak leżące, stojące wzwyż,
nie wiedząc, czy my karty iliady
rzeźbione ogniem w błyszczącym złocie,
czy nam postawią, z litości chociaż,
nad grobem krzyż.

Wojna, Walka

22 VII 1943

Mazowsze

I

Mazowsze. Piasek, Wisła i las.
Mazowsze moje. Płasko, daleko —
pod potokami szumiących gwiazd,
pod sosen rzeką.

Natura

Jeszcze tu wczoraj słyszałem trzask:
salwa jak pokłask wielkiej dłoni.
Był las. Pochłonął znowu las
kaski wysokie, kości i konie.

Bitwa

⁹troglodyta — jaskiniowiec; osoba nieokrzeszana, prymitywna. [przypis edytorski]

2

Zda mi się, stoi tu jeszcze szereg,
mur granatowy. Strzały jak baty.
Czwartego pułku¹⁰ czapy i gwery
i jak obłoki — dymią armaty.

Historia

3

Znowu odetchniesz, grzywo zieleni,
piasek przesybie się w misach pól
i usta znowu przyłgną do ziemi,
będą całować długi świst kul.

Przemijanie

Wisło, pamiętasz? Lesie, w twych kartach
widzę ich, stoją — synowie powstań
w rozdartych bluzach — ziemi uparta —
— jak drzewa prości.

Powstaniec

4

W sercach rozwianych, z hukiem dwururek
rok sześćdziesiąty trzeci¹¹.
Wiatr czas zawiewa. Miłość to? Życie?
Płatki ich oczu? Płatki zamieci?

Powstanie

5

Piasku, pamiętasz? Ziemi, pamiętasz?
Rzemień od broni ramię przecinał,
twarze, mundury jak popiół święty.
Wnuków pamiętasz? Światła godzinę?

6

I byłeś wolny, grobie pokoleń.
Las się zabliznił i piach przywalił.
Pługi szły, drogi w wielkim mozole,
zapominały.

Czas, Wolność

7

A potem kraju runęło niebo.
Tłumy obdarte z serca i z ciała,
i dymił ogniem każdy kęs chleba,
i śmierć się stała.

Wojna

Piasku, pamiętasz? Krew czarna w supły
związana — ciekła w wielkie mogiły,
jak złe gałęzie wily się trupy
dzieci — i batów skręcone żyły.

¹⁰*Czwarty pułk* — 4 Pułk Piechoty Liniowej. Polski regiment z okresu Królestwa Kongresowego, stacjonował w Warszawie. W czasie powstania listopadowego walczył m.in. w bitwie o Olszynkę Grochowską. [przypis edytorski]

¹¹*rok sześćdziesiąty trzeci* — 1863. 21 stycznia tego roku rozpoczęło się powstanie styczniowe. [przypis edytorski]

Piasku, to tobie szeptali leżąc,
wracając w ciebie krwi nicią wąską,
dzieci, kobiety, chłopci, żołnierze:
„Polsko, odezwij się, Polsko”.

Piasku, pamiętasz? Wisło, przepłyniesz
szorstkim swym sukniem po płaszczu plemion.
Gdy w boju padnę — o, daj mi imię,
moja ty twarda, żołnierska ziemio.

26 VII 43 r.

Rodzicom

A otóż i macie wszystko.
Byłem jak lipy szelest,
na imię mi było Krzysztof,
i jeszcze ciało — to tak niewiele.

I po kolana brodząc w blasku
ja miałem jak święty przynosić Pana
przez rzekę zwierząt, ludzi, piasku,
w ziemi brnąc po kolana.

Po co imię takie dziecinie?
Po co, matko, taki skrzydeł pokrój?
Taka walka, ojcze, po co — takiej winie?
Od łez ziemi krwawo mi, mokro.

Mysłiałaś, matko: «On uniesie,
on nazwie, co boli, wytłumaczy,
podźwignie, co upadło we mnie, kwiecie
— mówiłaś — rozkwitaj ogniem znaczeń»

Ojcze, na wojnie twardo.
Mówiłeś pragnąc, za ziemię cierpiąc:
«Nie poznasz człowieczej pogardy,
udźwigniesz sławę ciężką».

I po cóż wiara taka dziecinie,
po cóż dziedzictwo jak płomieni dom?
Zanim dwadzieścia lat minie,
umrze mu życie w złocieniach rąk.

A po cóż myśl taka jak sosna,
za wysoko głowica, kiedy pień tną.
A droga jakże tak prosta,
gdy serce niezdarne — proch.

Nie umiem, matko, nazwać, nazbyt boli,
nazbyt mocno śmierć uderza zewsząd.
Miłość, matko — już nie wiem, czy jest.
Nozdrza rozdęte z daleka Boga wietrzą.

Miłość — cóż zrodzi — nienawiść, struny łez.

Ojczy, broń dźwigam pod kurtką,
po nocach ciemno — walczę, wiary więdną.
Ojczy — jak tobie — prócz wolności może i dzieło,
może i wszystko jedno.

Dzień czy noc — matko, ojczy — jeszcze ustoję
w trzaskawicach palb, ja, żołnierz, poeta, czasu kurz.
Pójdę dalej — to od was mam: śmierci się nie boję,
dalej niosąc naręcza pragnień jak spalonych róż.

30. VII. 43 r.

Cień z obozu

Przychodził do niej we śnie długi cień,
chłód wiał, w błękitne szkło przemieniał dłonie;
słyszała co dzień kroki. Wiała mokra sień
i pory roku, deszcze jak spienione konie
porywały za sobą drzewa i niebiosy,
pochmurne, to znów białe. Śnieżyce na włosach
zostawiały jej płatki, cichym rylcem żłobiąc.
Zamieniała się w pomnik powoli, nieznacznie,
nocą czekając dnia, który ją rzeźbić zacznie,
a dniem na noc czekając, na splątany kłęb
ciemnych organów ciszy, które wiały w głąb,
jak wir lodowej rzeki. I huczała trwoga.
Przychodził do niej we śnie długi cień,
rozchyłał płatki nocy, co pod jego ręką
rozwijają się, szumiąc jak spalony kwiat,
i nazywał imieniem pory wszystkich lat,
i zamykał skinieniem sny jak morza lęku.

Czas

Sen, Strach

I przyszedł pierwszy raz, i nawiał obłok biały,
a chłodne bryły lodu tej nocy — w staw przemienił,
a na nim złote kręgi milczenia tak się chwiały
jak motyl albo gwiazdy brzęczący, pszczeli ślad.
«Matko — powiedział — powróć ze mną w daleki las,
gdzie kwiaty źródeł biją, żywica dymi ciepło.
Ognisty motyl żyje, dzieciństwo żyje w nas,
a tylko serce twoje jak czarna kra zakrzepło».
A w oknach skośny wiatr nadymał śniegu ściany,
na sprzętach porastało niedźwiedzie białe futro.
Więc on dotykał muru i z ciemnych pyłów smutku
wywodził lip aleje i sarny, i złocenie,
i objął matkę w pól, i razem szli w milczenie
jak kiedyś, jak w dzieciństwie szli w nieobjęty świat.
A rano świt nadymał ogromne białe niebo,
na oknach szorstki puch i chłód trumienny szedł.
«O synku, o mój miły — płakała — ty bez chleba
dretwiejesz, o mój synku, w tobie zamarzła krew.
Jakaś ty do mnie przyszedł, jakaś ty czas ubłagał?
Ja wiem — to już nie kwiaty, ja widzę śnieżne pola

Zima, Cisza

Matka, Syn

Głód, Cierpienie

i bat nad tobą węzem, i twoja postać naga,
co biegnąc tak się z wolna zamienia w ludzki ślad...»

I przyszedł drugi raz, a z nim zielony blask,
a za oknami wtedy kasztany w ogniu stały.
Była wiosna. On dłońmi — w których mu płomyk gasł —
w powietrze światło wlewał, aż stało jak naczynie
pełne żywego ognia. I matkę w górę wiódł,
gdzie się przejrzyste stropy topiły niby lód.
«Matko — mówił — to w tobie się tylko zebrał cień,
nie płacz, matko, to źródła widzisz bijące życiem,
nieostrzegalne, matko, płomienne boże wici¹²,
co są nad trwożę, matko, nad grozę i nad śmierć».
I dalej szli w milczenie, w obłoków drżące lilie,
w zielone zdroje światła, w drgające żyły drzew,
aż tylko ptak, maleńki w fontannie bzów pozostał.
«Matko — słyszała jeszcze — to ptak, co niesie śpiew
dla mnie tam, kiedy czasem umieram. On na sosnach
za drutem siada blisko i głos jak żywa krew
spływa we mnie. Niech da ci jeszcze ostatni znak.»
A rano, kiedy oczy zlepione płatkami bólu
otwarła — na kasztanie jak kryształowy flet
polał się głos i zamarł. Płakała: «Synku mój,
jakeś milczenie przemógł¹³ i wrócił, kiedy wiem,
że krwawe sznury strzegą każdego twego snu».

Ptak, Śmierć

I przyszedł trzeci raz. I już nie czynił nic.
Było lato, w powietrzu pozostał lot jaskółek,
upał jak złoty miód w ziemię się wsączał czułą
i parowały ciężkie z otwartych czaszek sny.
Przyszedł zwykły, ucichły jak trzepot ptasich skrzydeł
i dłonie wiotkie tylko na włosy matki kładł.
I była ciemność. Cisza. A on jak wielki kwiat
na środku się kołysał, powoli w górę szedł.
«Matko — powiedział jeszcze — to nic, że ja daleko,
że nas rozdarła ciemność i ból, co tkwi jak nóż.
Ja w tobie, a ty we mnie płyniemy strugą, rzeką
złocistą, drżącą strugą, gwiazdami lśniących róż.
Bo nie ma rozerwania, choć rozerwane słowa,
bo nie ma zapomnienia, choć życie nas zapomni;
z brzęczących kręgów nieba ja w ciebie, a ty do mnie
płyniemy». Już tryskała obłoków dłoń różowa
i krzykiem świt przebudził na drzewie śpiący ptak.
«O Matko, kiedy wstaniesz i wyjrzysz w dzień, to w oknie
zobaczysz mój ostatni, jak światło cichy — znak».

Kiedy się znów otwarła po snu oplocie ciasnym,
słońce nalane w ogród jak w wielką, płaską kadź
obrysowało drzewo, liście i korę jasną,
a na nim pył owoców. Na czasów złych rozstaju
drzewo ludzkich wyroków, dziwne drzewo rodzaju,
wiśniowe drzewo rosło, a słońce w kulki wisien
zamknęło krople pełne jego przelanej krwi,
którą tej nocy bat rozplusnął z jego ciała,
i drżały tak jak ziemi bolesne, żywe łyzy

Drzewo

¹²wici — gałązki (witki); w dawnych czasach przysłanie ich oznaczało wyzwanie na wojnę. [przypis edytorski]

¹³przemóc (daw.) — przewyciężyć, pokonać. [przypis edytorski]

nad zamyśleniem czasu, nad wirowaniem pyłu
i przenikaniem kręgów, które natchnęła miłość.

17 VIII 43 r.

Do Matki Boskiej

Mario, obłoków ciszo.
Ciężko nam Boga dźwigać,
jeszcze ciężej odrosły świat,
nieba wysokie ciężej; nieba nad nami wiszą
jak przykazania ciemny kwiat.

Matka Boska

Mario, tak bardzo boli, powiedzmy słowem prostym,
oto wszystko, całą małuczkość serc:
tu oto świty skazańców, tu oto dzieci, co rosły,
tu oto, Mario — milcząca nawet przed Bogiem śmierć.

Żeby się jeszcze unieść: o, natchnie ciepła muzyka,
ale już ziemia za ciężka, to dusze martwe jak ołów,
ciała i groby za ciężkie — stężale bryły mozołu,
dym, płomień nad nami wykwita.
Cierpienie to kula, koło,
rzeźbi, lecz toczy się dokąd?

Kondycja ludzka

Mario przeczysta, oto są dłonie wyschłe jak ruczaj¹⁴,
z których by takie ogrody, zielone wybuchy drzew,
z których by domy jasności. A teraz oczy nauczaj,
jak w baldachimy przestrzeni trwogę zamienić i gniew.

Oto małuczkość nasza, śpiewaj, święta, nie ustań: —
czym wyższa topola śpiewu, tym bliżej dosięgnąć z dna.
Kończę. Oto już wszystko. Jak wióry wyschłe mam usta,
nimi, o cicha, ciebie jak wizerunek wycisnąć w twardych dniach.

VIII 43 r.

Wybór

*Uczyniwszy na wieki wybór,
w każdej chwili wybierać muszę.*

J. Liebert

Noc zielona była, po dniu skwarным
głębokość jej szumiała jakby liście czarne,
w których mleczny rdzeń wyrósł, i kroplami gwiazd
odmierzał się powoli nieostrożny czas.

¹⁴ruczaj (poet.) — strumień. [przypis edytorski]

Maria czekała cicho. I zdało się, płynął świat ogromny w oddechu nieba jak otchłanie, co wiało wielkim oknem na stół, na posłanie białe i nie dotknięte. Czekala. W milczeniu na piersi ręce kładła i wtedy się pienieł krwi jej rozgrzany napój i owoce mleczne pęczniały jej pod dłonią, i czuła, jak bije bolesna piąstka serca. I czuła, że żyje łóżyka w niej maleńka, listeczkami dwoma obejmująca miłość całą, jaką ona i on zamknęli w sobie. I gdy rękę niżej odsunęła, poczuła, jak ją szorstko liże płomienny język ciszy. Brzuch miała jak kroplę ogromną, w rozłożystą misę biodr zamknięty. W takiej ciszy słyszała, jak na godzin stopnie pnie się w niej ten roślinny puch, twardnieje w orzech — — to było dziecko małe, które wkołysali ciepłym ciał swych pomrukiem jak szelestem morza w jej pełnię i dojrzałość, która równa ziemi ogarnęła i rosła rączkami drobnymi, zarysem ust różowych, roślinką maleńką, którą czuła pod lekko wyciągniętą ręką i która dziś się spełni i wszędzie człowiekiem nad przymrużoną lekko ziemi zlej powiekę, żeby się stać czym? Kwiatem, powłoką czy łzą?

Dziecko

A on był z nimi razem. Drzewa niebo niosły i jak rybak, co trąci nieostrożnym wiosłem tataraki — i kwiaty podwodne ukaże, tak wiatr obłokom zwijał nachmurzone twarze i odsłaniały gwiazdy czystsze od pian bieli. Oni stali bez ruchu. W ciemności widzieli, jak z wolna ich otacza wróg, a hełmy lśniły jak łuski wielkiej ryby, która nocą drąży. Jan stał pośrodku, cichy jak wielki chorąży, który sztandar przedśmiertny ogromnych niebiosów unosi. Jego głowa i płonące włosy, w których gwiazdy spalały ostatni swój płomień, stały w sklepieniu nocy, w milczenia ogromie. Tacy byli żołnierze, którzy bez mundurów, w cywilnych czapkach, z bronią zza pasa wydartą stali u serca ziemi jak burzliwe chmury przeciw wierze bezsilnej i miłości martwej.

Walka

A tamci jeszcze bliżej. Więc ujęli w ręce broń jak rzeźbiarz, co dłuto ujmuje z namysłem, aby wyciąć nagrobny pomnik, w takiej męce, w takim bólu krzesany, aby czyny wszystkie, wszystkie cierpienia i burz grzywy wciosać w pomnika twarz, ramiona, w usta i we włosy.

Więc runął łańcuch strzałów. Najpierw po ogniwie sypał się na bruk dźwięcząc, potem coraz ciężej. I świst, jakby jęk łuku zerwanej cięciwy. To ziarna kul jak długie, rozpalone węże. Ulica była ciemna. Bił głos. Z okien nisko złęknionych oczu płatek. Od krwi było ślisko.

Walka

Sypki grzechot o ściany. Potem świst. Schyleni,
przypadali głowami — jak do dna — do ziemi.
Pocisk. Więc ciemność drgnęła, odprysło od bruku
i rozerwani na sylwetek palce
pełzali naprzód, już się gięli w walce:
to przypadną i bąki ostrych strzałów grają,
to z granatem w powietrzu bez ruchu przystają,
oczy szukają szybko, potem chmura tryśnie
i jeszcze większa ciemność w powietrzu zawisnie.

Jan widział ciała ciemne i jeszcze raz nabił,
i jak odporne zwierzę długo w dłoni dławił
broń. Znow zatrzepotał skrzydłem ołowianym
zerwany łańcuch strzałów. Potem granat w górę
trysnął i raz na zawsze zamilczał w ciemności
zmiążdżony bruk i bezruch czarnych ciał.

Śmierć

On jeszcze chwilę wyższy jakby stał
u ściany, przedłużony cieniem, potem skośny
jak kostur, co przy murze postawiony czeka,
ruszony, upadł. Tylko plusk bezgłośny
zamknął się nad nim cicho. Noc się jak powieka
zmruryła i zapadła. Jeszcze gwiazd ulewa
zza chmury wynurzona opadała w drzewa
i łopot strug ciemności wydymał się w wietrze,
i stało skamieniałe nad światem powietrze.

Więc cisza ogromna się stała jak woda,
ciemna, głęboka i ciepła, wchłonęła kształty i świat.
A anioł lekki nad ziemią cicho mu rękę podał
i szli wysoko, w obłoków rozchylający się kwiat.
I już się Jan kołysał nad ziemi dnem wypukłym,
kiedy dom w dole ujrzał, i lzy jak ciężkie gwiazdy,
pełne obrazów zmieszanych, w dół spadły, rozprysły się, stłukły.
I począł ciężyc w dół jak próżny¹⁵ dźwięku dzwon,
bo widział Marię białą jak brzozę w burzy zgietą,
schyloną nad dzieciątkiem w ogromnym lustrze lęku.

«Podaj mi rękę — mówił anioł — bo jeszcze jeden krok,
a trwoga cię ogarnie i spadniesz suchym liściem
w drapieżną czułość ziemi, w pożary ludzkich rąk,
w jezioro mroczne czasu podobne ciemnym snom».
Znow się muzyki ciepłej płomyk zapalił biały,
a on strwożony jeszcze, choć w górę lekko szedł,
zapłakał: «Czym nie zgrzeszył, odchodząc od cierpienia,
odchodząc, kiedy za mną bolesne kwiaty wiały,
jej dłoni i jej oczu uderzał motyl trwożny
i do jej stóp maleńkich przykuta ciężka ziemia?
Jam szedł za tym płomieniem, co pali nieostrożny
i nieobaczny na nic». A anioł mówił tak:
«Tyś był miłości wiernej nierozdzielony ptak,
który miał tyle serc, ileś twych braci miał,
i z każdym serc powiewem twój wielki płomień drżał,
i uczyniłeś wybór po wszelki świata czas,
jakkże chcesz, żeby w trwodze o jedno ciało gasł?»

Miłość, Patriota

¹⁵próżny — tu: pozbawiony. [przypis edytorski]

Bo dusza jej to strumień, srebrzysty, żywy ton,
a nie napłynie otchłań w zielony, boży dom».

I znów się ciszy całun w muzyki krąg układał,
a znów go strwożył czas i mówił: «Nim dorośnie
dzieciatko, czym się stanie, czy groza go nie wchłonie?»
A anioł wziął go w ciszy mocno za obie dłonie
i rzekł: «Czyś ty zapragnął krzyżować smugi dróg,
które wydrążył przed nim ognisty boży pług?
Ale wiedz: kto zaufał, gdziekolwiek niesie lot,
miłością pooddziela od miłowanych zło».

Wtedy się serce Jana skruszyło w miękki popiół,
to serce, które z duszą porwane — ziemskie było.
I próchno się na ziemię jak rosa albo łza
zsunęło. Nisko w dali fala chmur białych szła.
Jeszcze dzwonek na wieży,
ptaki w locie i obłok,
wietrzyk dzwonił i gasł.
«Podaj mi rękę — mówił anioł —
oto się stajesz zapatrzonym gwiazd».

Ukończone 14 września 1943 roku,

pisane w miesiącach: maj, lipiec, sierpień, wrzesień 1943 r.

Spojrzenie

Nic nie powróci. Oto czasy
już zapomniane; tylko w lustrach
zsiada się ciemność w moje własne
odbicia — jakże zła i pusta.

Przemiana

O znam, na pamięć znam i nie chcę
powtórzyć, naprzód znać nie mogę
moich postaci. Tak umieram
z pół-objawionym w ustach Bogiem.

I teraz znów siedzimy kołem,
i planet dudni deszcz — o mury,
i ciężki wzrok jak sznur nad stołem,
i stoją ciszy chmury.

I jeden z nas — to jestem ja,
którym pokochał. Świat mi rozkwitł
jak wielki obłok, ogień w snach
i tak jak drzewo jestem — prosty.

Miłość

A drugi z nas — to jestem ja,
którym nienawiść drżącą począł,
i nóż mi błyska, to nie łza,
z drętwych jak woda oczu.

Nienawiść

A trzeci z nas — to jestem ja
odbity w wyplakanych łzach,
i ból mój jest jak wielka ciemność.

Cierpienie

I czwarty ten, którego znam,
który nauczę znów pokory
te moje czasy nadaremne
i serce moje bardzo chore
na śmierć, która się lęgnie we mnie.

18 X 1943

Z głową na karabinie

Nocą słyszę, jak coraz bliżej
drząc i grając krąg się zaciska.
A mnie przecież zdrój rzeźbił chyży,
wyhuśtała mnie chmur kołyska.

Czas, Los,
Niebezpieczeństwo,
Niewola, Młodość,
Twórczość, Śmierć, Siła

A mnie przecież wody szerokie
na dźwigarach swych niosły płatki
bzu dzikiego; bujne obłoki
były dla mnie jak uśmiech matki.

Krąg powolny dzień czy noc krąży,
ostrzem świszcząc tnie już przy ustach,
a mnie przecież tak jak i innym
ziemia rosła tęga — nie pusta.

I mnie przecież jak dymu laska
wytryskała gołębia młodość;
teraz na dnie śmierci wyrastam
ja — syn dziki mego narodu.

Los, Śmierć

Krąg jak nożem z wolna rozcina,
przetnie światło, zanim dzień minie,
a ja prześpię czas wielkiej rzeźby
z głową ciężką na karabinie.

Obskoczony przez zdarzeń zamęt,
kręgiem ostrym rozdarty na pół,
głowę rzucę pod wiatr jak granat,
piersi zgniecie czas czarną łapą;

bo to była życia nieśmiałość,
a odwaga — gdy śmiercią niosło.
Umrzeć przyjdzie, gdy się kochało
wielkie sprawy głupią miłością.

Miłość, Odwaga, Śmierć

4 grudnia 1943

Ballada morską

Po morzu, gdzie ryby jak jaskry
pryskały w górę i w głąb,
na korabiu¹⁶ z koralów jasnych
panieneczki błękitne się śmiały,
na skrętach srebrnych trąb
loki lotne jak obłoki kołysały
na przejrzystych muszelkach rąk.

Kobieta

Wyspy ciepłe kwitły jak żółw,
mewy szybkie, ostre jak igły
szyły ciszę, to ją cięły na pół
i u wody przypięte, stygły.

Zaśpiewaliśmy pierwszą pieśń,
zaśpiewajmy rapsod jak chmura:
zapadali się ogromni, aż po śmierć
do ciężkiego dna na czarnych sznurach.

Morze

Wyciągały ich dłonie krzepkie
całych w kuli srebrnej jak lód,
w dłoniach mieli perły od krwi lepkie,
oczy mieli smutniejsze niż chłód.

I prosili głosem smukłym: tam
chcemy na dół wrócić, gdzie śpiewnie
rosną ciała wygiętych gam
i szumiące jak ulewa modrzewie.

A na dnie płakali jak dzwonek,
powracali jak pęcherz wodny
i milczeniem tylko wiało od nich,
usta ziemi całowali zielone.

I na ląd wesoly nie zeszli,
i na dno nie spłynęli jak kamień,
tylko byli jak wzniesione ramię
kołyszące się to wzwyż, to w głąb.
Panienczki błękitne się śmiały
na łodygach wodnych trąb.

I puściły panienczki jasną sieć,
jak paluszki ich tak wiotką i jak rtęć,
wyłowiły, zapłakały, ciemne oczy całowały
i głęboką w nich aż do dna śmierć.

Kobieta, Śmierć

6 XII 1943

Sen

¹⁶korab (daw.) — statek. [przypis edytorski]

(*Sny. I*)

I

Sen supły płaskie
najpierw szeleścił jak oset,
aż wyklął niedźwiedzia czy wilka.
Wilk był tobą, szedł bosy
przez drogę zadymioną jak szkło,
drogę dłużącą przez usta.
Zresztą
wzbierało już i szło,
szło zewsząd,
przez krzywe, wypukłe lustra:
jakieś kruczaty przeciw słońcu.

2

Schody kręte, a trumna w dole małeńka.
Huczało echo — kopuła — pękaty bęben.
Dom rósł w śmierć czarnym dębem,
gdzie kornik żerujący na dźwiękach.
Szło się długo przy świeczce w dół
wśród płaczu drżącego w ustach.
Na dole rozdęta sień
ziała cieniami — pusta.
Padał deszcz, czarni ludzie za bramą.
Karawan, który czekał, w lęku okrzepl.
Mały chłopiec w koszuli, wołałem: «Mamo!»
Kondukt ruszał. Był to mój własny pogrzeb.

Pogrzeb

3

Już był najwyższy czas,
znaki na niebie rosły
i ludzie w szatach z miedzi
szeptali przylegając do gwiazd,
palcami niebo rysując wołali: «Jedzie!»
A tam
namnożyło się zodiaków, wielkich niedźwiedziec
i zabawek sypiących z nieba.
Prosiłem: «Powiedźcie!» Na próżno
uciekali mrowiskiem splątani w kłąb.
Zasypany po szyję w trociny,
zostałem sam,
już było za późno.

4

A potem jeszcze pola jak pokład
schły pod niebem martwym.
Była droga czarna, namokła,
była droga kół czarnych,
manifesty rozwieszane na chmurach.
To świt
już —

srebrny palec katedry wytknął kurant¹⁷
ostry jak nóż:
awemaria.

szpital, 20 IV 41 r.

Poległym

Nocą, gdy ciemność jest jak zwierzę czarne,
stoi cisza jak lęku drgający biały słup.
I żyła śmierci bije: na marne — drży — na marne,
a rano znów się potknę o rozkopany grób.

Noc, Grób, Strach

A dniem stół pusty stoi, zabrakło na nim rąk,
które by razem ze mną wznosiły kruchą sieć,
a uporczywe twarze i ciała wokół siedzą,
jak gdyby tu przykute miłości mroczną wiedzą,
i głos na ścianach osiadł jak szron i dzwoni: «Leć!»

I każą mi: «Zapomnij!» Więc ręce ciężkie włożyć
w ciężarny olów gliny i pracy toczyć głaz,
więc jeszcze dzień obrócić, jak mokry piach wyłożyć,
odetchnąć jeszcze śmiercią i jeszcze, jeszcze raz.

A potem znowu noc i słuchać długo trzeba,
jak schodów trzask się wznosi, jak dławi płótno czarne,
a w szyby śniegu bicz: «Na marne — drży — na marne!»
I życie w gardle tkwi jak ostry kamień chleba,
i czuję was w ciemności bez ziemi i bez nieba.

I wtedy trzeba wierzyć, i każą mi: «Zapomnij!»
I trzeba martwą broń zamienić w krzyż i płomień...
Ulice moich dróg są wszystkie w górę — strome,
i cienka struga krwi jak lont się spala — do mnie.

Żelazna miłość — tak — wybuchło, zgasło, starło,
pozostał tępy mus, co w pięści tkwi jak gwóźdź.
Zapomnieć teraz, zdrętwieć, milczeniem tak się struć,
żeby mi piskłę ognia na dłoni nie umarło.

Odeszli. Noc po nocy. Coraz to krzyk za gardło
i tylko cisza po nich i dzwoni śniegu słup,
ale się głupie ciało jak ciężki pień uparło,
choć rano — ktoś się potknie o mój dymiący grób.

Grób

6 I 1944 r.

Wiersz o cierpieniu

Matce

¹⁷kurant — umieszczony w zegarze mechanizm odgrywający melodię. [przypis edytorski]

Są ściany z wszystkich czterech stron
jak pola pełne śniegu
i mrok jest, chłód, jak gdyby dął
ogromnej siły martwy biegun.

To jest znużenie, może my
tak śpimy mocno, biegnąc dalej.
Teraz jest wieczór, będą sny,
nim nas jak lampę dzień zapali.

Widziałem dziś pociągu smugę,
tę, co marzyła turkusów łąd,
a niosła ciemne ludzkie drogi
na śmierć, na śmierć, w zamrzły ogień,
do więzień śmierci, tak daleko,
jak miłość jest daleko stąd.

A ty, co siedzisz senna taka,
słyszałaś dziś w ulicy wycie,
krzychało dziecko, może ptak,
z którego ktoś wyrwał życie,
jakby to była nić głęboka —
tak pod tym czasem jest głęboko
w ciemności samej — krzyża znak.

I ty, co obok czytasz śpiący,
przewracasz kartki tak powoli,
jak ciała, które huk gorący
w twych oczach salwą dzisiaj spalił.
A oni patrzą płonąc z wolna,
jakby cię z książki kart poznali.
I liczysz twarze, co się chwieją,
w twych dłoniach czas je na proch pali,
takie samotne jak chłód stali,
jak tu samotna jest nadzieja.

I stoją ściany martwych czynów,
jakby w nie wiatr nasączył krwi,
ściany zamknięte wspólną winą
jak dom bez drzwi.
I krzyż jest czarny zawieszony
na jednej z czterech nagich ścian,
i Bóg ogromny, jakby tony
w przestrzeni zmarzłe wielkich dzwonów,
i ciemność wieje z pięciu ran.

My ciągle senni. Ból daleki,
nie zrozumiany nigdy do dna,
jak gdyby płomień przez powieki,
tak kruszą nas mocarne rzeki
i zastygamy w bryły chłodne.

A ty, jak kochasz jeszcze, kiedy
ukrzyżowany wżgardą Bóg,
przed śmiercią w oczach miałeś wieki
krwi pełne jak ciężkiego snu?
Jakże ty jeszcze, zmiażdżony w tłumie,
imieniem swoim nazwać chcesz ciało,

jakże ty cierpisz, czy wieczność całą,
Ty, co rozumiesz?

8. I. 44 r.

Piosenka śnieżna żołnierza

Śnieg wieje — ciszy gołąb —
w miast wyspy lekkie.
Szumią miękkie powieki,
kręci się białe koło.

Zima

Zapomniane już, zapomniane
to, co kochać było — za wiele:
panny smukłe, wiatru fontanny,
u jeziora uśpiony jeleni.

Pamięć, Przemijanie,
Wspomnienia

Przeżegnane krzyżem i ogniem
śpiewne kraje, gotyk na szybach,
zapomniane te, co szły do mnie,
smoki, kwiaty, świecące ryby.

Zapomniane będą i czasy,
które miłość jak śnieg wypełnia.
Na chmur ciemnych spiętrzone lasy
pnie się śniegu szumiąca wełna.

Pożegnane już, zapomniane.
Śnieg jak dłonią zasłoni oczy.
Słyszać jeszcze — nim chłód zostanie —
jak za nami pułk biały kroczy.

Zima, Śmierć

14 I 1944

[Tych miłości, które z nami...]

Tych miłości, które z nami
na strumieniach białych płyną,
co jak chmury nad głowami
czasem każą zapominać,
tych miłości jak zwierzęta,
co wracają w las od ludzi,
węsząc z twarzą wyciągniętą,
zanim śmierć ich nie ostudzi,
tych miłości, które niosą
sok z korzeni w słońce liściem,
co jak puch dziewczęcych włosów
lekką rosną ku niebiosom,
nie wydepczą nienawiści.

Miłość, Nienawiść

Tych miłości, o, za wiele,
choćbyż ziemia jeszcze twarda,
nad nią zawsze śpiewu szelest,
bo cóż ziemskość? — śmiech, pogarda,
bo cóż zbrodnia? — Tylko mocniej
za bijące morze sumień
kochać każe, za ślad głupi
jak ten olbrzym, co się upił,
co gdy wstanie, to zrozumie.
W nas, co jak pomników głązy,
z tych miłości mocno rośnie
przez te czasy, nad te czasy,
ponad nami — czas miłości.

27 I 44

[Gdy broń dymiącą z dłoni wyjmę...]

Gdy broń dymiącą z dłoni wyjmę
i grzbiet jak pręt rozgrzany stygnie,
niech mi nie kładą gwiazd na skronie
i pomnik niech nie staje przy mnie.

Bo przecież trzeba znów pokochać.
Palce mam — każdy czarną lufą,
co zabić umie. — Teraz nimi
grać trzeba, i to grać do słuchu.

Przemiana

Bo przecież trzeba znów miłować.
Oczy — granaty pełne śmierci,
a tu by trzeba w ludzi spojrzeć
i tak, by Boga dojrzeć w piersi.

Bo przecież trzeba czas przemienić,
a tutaj ciemna we mnie siła,
i trzeba blaskiem kazać ziemi,
by z sercem razem jak krew biła.

Wróć, rzemieślnik skamieniały,
pod dach rozległy jasnych pogód,
do rzeźb swych — tych, co już się stały,
i tych, co stać się jeszcze mogą.

I dawne będą wzrok obracać —
niezdarne słupy pełne burzy,
i te, których nie tknęła praca
jak oddech niewidzialnej róży.

I pośród nich jakże ja stanę
z garścią, co tylko strzelać umie,
z wiarą, co śmiercią przeorana,
z sercem, co nic już nie rozumie?

Odrodzenie

Ale jeżeli spalił młodość,
jak pałą kraje w wielkim hymnie,
to nie zapomni czas narodu,
A Bóg jak płomień stanie przy mnie.

I wtedy, wtedy liść mi każdy
albo mi wróbel z nieba sfrunie
i jego głos — już głosem prawdy,
i poznam głos, poczuję: umiem.

I szmer ptaszęcy mi przypomni,
że znałem miłość, i obudzi
zdrętwiałe dłonie — jak łodygi,
i poczną kwiaty, gwiazdy, ludzi,

i ziemię w morza szum przemienię,
i drzewa w zwierząt linie miękkie,
i wtedy spadnie mi na rękę
w pieśni odrosła — wierna ziemia.

9 III 1944

Ballada o trzech królach

Tajemnicę przesypując w sobie
jak w zamkniętej kadzi ziarno,
jechali trzej królowie
przez ziemię rudą i skwarną.

Wielbłąd kołysał jak maszt,
a piasek podobny do wody;
i myślał król: «Jestem młody,
a nie minął mnie wielki czas.

I zobaczę w purpurze rubinów
ogień, siły magiczny blask;
może stanę się mocniejszy od czynów
przez ten jeden, jedyne raz».

Tygrys przeżył siłę jak wąż,
mięśnie w puchu grały jak harfa.
Na tygryście jechał drugi mąż,
siwą grzywę w zamyśleniu szarpał.

«Teraz — myślał — po latach tyłu,
gdy zobaczę, jak płomienie cudu drżą,
moje czary skarbów mi uchylą,
moje wróżby nabiegną krwią.

Ziemia pełna jak złoty orzech,
pęknie na niej skorupy głąz,
usta jaskiń diamentowych otworzy
przez ten jeden, jedyne raz».

Podróż

Trzeci król na rybie
wielkiej jak wyspa jechał
przez stepy podobne szybie
błękitnej pod wiatru miechem.

Nucił: «Po latach stu
kwiat początku i końca ogień
w jedno koło związanych nut
gdy zobaczę, sam się stanę Bogiem.

W suche liście moich ciemnych ksiąg
spłynie mądrość odwiecznych gwiazd
i osiadzie w misie moich rąk
przez ten jeden, jedyny raz».

A w pałacach na łądach zielonych,
co jak sukno wzburzonej fali,
mieli króle trzej błękitne dzwony,
w których serca swe na co dzień chowali.

Serce

A tak spiesznie biegli, że w pośpiechu
wzięli tylko myśli pełne grzechu.

Grzech

Więc uklękli trzej królowie zadziwieni,
jak trzy słupy złocistego pyłu,
nie widzący, że się serca trzy po ziemi
wlokły z nimi jak psy smutne z tyłu.

I spojrzeli nagle wszyscy trzej,
gdzie dzieciątko jak kropla światła,
i ujrzeli jak w pękniętych zwierciadłach,
w sobie — czarny, huczący lej.

Chrystus

I poczuli nagle serca trzy,
co jak pięści stężały od żalu.
Więc już w wielkim pokoju wracali,
kołysani przez zwierzęta jak przez sny.

Miłość

Wielbłąd z wolna huśtał jak maszt;
tygrys cicho jak morze mruczał;
ryba smugą powietrza szła.

I płynęło, i szumiało w nich jak ruczaj¹⁸.
Powracali, pośpieszali z wysokości
trzej królowie nauczeni miłości.

9 III 1944

Elegia o... [chłopcu polskim]

Oddzielili cię, syneczku, od snów, co jak motyl drża,
haftowali ci, syneczku, smutne oczy rudą krwią,

¹⁸ruczaj (poet.) — strumień. [przypis edytorski]

malowali krajobrazy w żółte ściegi pożóg,
wyszywali wisielcami drzew płynące morze.

Wyuczylesz cię, syneczku, ziemi twej na pamięć
gdyś jej ścieżki powycinał żelaznymi łzami.
Odchowalesz cię w ciemności, odkarmili bochnem trwóg,
przemierzylesz po omacku najwstydlwsze z ludzkich dróg.

I wyszedłeś, jasny synku, z czarną bronią w noc,
i poczułeś, jak się jeży w dźwięku minut — zło.
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką.
Czy to była kula, synku, czy to serce pękło?

20 III 1944 r.

Modlitwa do Bogurodzicy

Któraś wiodła jak bór pomruków
ducha ziemi tej skutego w zbroi szereg,
prowadź nocne drogi jego wnuków,
byśmy milcząc umieli umierać.

Modlitwa

Któraś była muzyki deszczem,
a przezrzysta jak świt i płomień,
daj nam usta jak obłoki niebieskie,
które czyste — pod toczącym się gromem.

Która ziemi się uczyłaś przy Bogu,
w której ziemia jak niebo się stała,
daj nam z ognia twego pas i ostrogi,
ale włóż je na człowiecze ciało.

Któraś serce jak morze rozdarła
w synu ziemi i synu nieba,
o, naucz matki nasze,
jak cierpieć trzeba.

Matka Boska, Matka

Która jesteś jak nad czarnym lasem
blask — pogody słonecznej kościół,
nagnij pochmurną broń naszą,
gdy zaczniemy walczyć miłością.

Walka, Miłość

21 III 44 r.

[Których nam nikt nie wynagrodzi...]

Których nam nikt nie wynagrodzi
i których nic nam nie zastąpi,
lata wy straszne, lata wąskie
jak dłonie śmierci w dniu narodzin.

Wojna

Powiedziałyście więcej nawet
niż rudych burz ogromne wstęgi,
jak ludzkie ręce złych demonów
siejące w gruzach gorzką sławę.

Wzięłyście nam, co najpiękniejsze,
a zostawiły to, co z gromu,
aby tym dziksze i smutniejsze
serca — jak krzyż na pustym domu.

Lata, o moje straszne lata,
nauczyłyście wy nas wierzyć
i to był kostur nam na drogę,
i z nim się resztę burz przemierzy.

Których nam nikt nie wynagrodzi
i których nic nam nie zastąpi,
lata — ojczyzno złej młodości,
trudnej starości dniu narodzin.

Bogu podamy w końcu dłonie
spalone skrzydłem antychrysta,
i on zrozumie, że ta młodość
w tej grozie jedna była czysta.

Młodość

24 III 1944

[*Nie to, co mi się śniło...*]

Nie to, co mi się śniło,
ale com krwią przepłakał,
to widzę, gdy się schylę
nad wodą, w której ptaki
kreślą węzły daremne,
które nie zwiążą bólu
ani mi świat utulą,
ale się płaczą ciemne,
ale mi grób rozwiną
i rozwijając — miną.

Wizja, Grób, Los, Łzy,
Krew

Ten świat, gdzie widzieć chciałem
roślinnych linii mądrość,
gdzie kształty ukochałem
i duchy wszystkich rzeczy,
ten świat, co miazdząc leczy,
a ginie razem z ciałem,
ten świat czy mi się wyśnił
jak biała gałąź wiśni,
jak tylko wiew anioła,
a potem krwią się polał?

Obraz świata, Sen

Czym ja rycerzy widział
tam tylko, gdzie się buta
jak chmura ciężka toczy,

czym ja miłości patrzył
przez snem zasnute oczy?
A teraz świat-pokuta
wystąpił rzeką z brzegów
i czy tak znów nauczę
mądrości albo chłodu
niewypaloną młodość?

Obraz świata, Młodość

Trzeba było miłości
po jednej tak odrywać,
pragnienia krwią nazywać,
przywykać tak do rzeczy,
jak mi je Bóg zaprzeczył.
Aby się stała żywa
ziemia ciężka jak zwierzę,
w którą już teraz wierzę,
której bólem nie przegnę,
miłością ledwo sięgnę.

Wiara

Trzeba mi było w ludziach
znajdować głaz po głazie,
aby mnie trzykroć raził
blask niebiosów ogromnych,
abym się w nocy budził,
w powietrzu szukał, wołał
płonących ust anioła.

Trzeba mi było jeszcze,
żem wierzył w ludzkie czyny,
aby opadły deszcze
od noży bardziej ostre,
aby porosły winy
jak suche, gorzkie osty,
abym jak wiór ognisty
spłonął w oddechu nocy,
bym teraz rozwarł oczy,
bym teraz wierzyć umiał
w to, co lżejsze niż ziemia,
w to, co się nie przemienia.

23 kwietnia 1944

Westchnienie

Deszczu srebrne gałązki rosną
jak gotyckich krużganków motyl,
ptaki dzwonki zielone niosą
na przejrzystych wstążeczkach lotu.

Jeden uśmiech dziecinnych łądów
błękitniejszy mi jest niż woda,
bo mnie żłobi niedobra mądrość,
bo się kończy nieżywa młodość.

Kurant jeszcze z pnącej się wieży,
wzgórz zielonych fałuje dywan
i poznaję miasto w obłokach,
nie wiem tylko, jak się nazywa.

Z tych wysokich przelotów we śnie
ludzie mali byli jak kwiaty.
Przebudzone o śmierć za wcześnie,
o, rzeźbione w kolorach światy!

Norymbergi, o Awiniony,
rączką dziecka rzeźbione w ciszy,
jeszcze sobie szum wasz przypomnę,
bo za rok już go nie usłyszę.

Przemijanie

23 kwiecień 1944 r.

Święto umarłych

Smutek jakże ogromny. Zmierzch duszny dławi.
Drzewa i dymy rosną, ziemia się łączy z przestrzenią;
zachodzą w sobie jak włosy deszczu białymi kwiatami,
to znów, jak sięgnąć, światło porasta brunatną ziemią.

Ludzie i zioła jesienne zmieszani, splątani drżą,
wiatr niemi targa i dzwoni, nie wiedzieć w serca, czy w liście,
a oni coraz bledsi, a drzewa rumienią się, gną,
jakby po kropli z nich piły, syciły swój kolor ich krwią.

Jak ciężkie statki spływają na dno milczenia domy.
W tym kraju ludzie żywi po jednym schodzą do ziemi,
mieszkają w głębi ciemności coraz to niżej i niżej,
a rude niebo zwolna zaludnia szelest cieni;
nie wiedzieć, czy glina tak miękka, że stopy pochłania, gdy liże,
czy taka przestrzeń już gęsta, że wchodzi powoli w śmierć
po szarych stopniach powietrza. O co uderza pierś,
kiedy w szumieniu cmentarza spotyka łodyg ruch.
umarli to są, czy żywi tak przemieniają się w puch?

*

I widać matki skośnie schodzące po murze jak cień;
ich usta otworzą się, zamkną, lecz nie uchodzi krzyk.
Nie wiedzą, czy to się zaczął ciężki jak kamień dzień,
czy to jak sznur szary dusząc włoką się jeszcze sny,
w których wydarto im dzieci, a może poprostu wzrok,
bo już nie widzą i ślepe powietrze trzepotem tną
jak ptaki, aż wreszcie spadają, dymy i szum je oddala.

Powietrze porusza skrzydłem, napędza ciemności jak fala,
a z niej dziewczyna wyrasta piana, szumi i świeci,
nabrzmiwa kształtem, szeleści, ręce jak gałąź kwitnącą
wyrzuca, jak woda opada, wiruje w liści zamieci,

szuka, dłonie obraca, zaklina powietrze i ziemię,
ale się cień nie zjawia, a cisza jeszcze jest głębsza

więc znowu wiruje jak strumień, zamienia się w wielką łzę.
I spada milcząc boleśnie. To wszystko, co jeszcze umie.
I tylko pachnie po niej cisza jak kwiatów pęk.

*

Znów deszczu szare różyczki przyskają, zmywają ślad,
aż się z nich chmura wylania ciężka, a może to zdołu
pieni się obraz jak morze pochmurny, huczy jak koło.
Oni ciągną powoli jak czarnej kurzawy bór,
ciemnością dmie, czaszki trzeszczą, hełm uderza o kość.
To się tak wieki zsuwają jak czarne warstwy gór
i spada ciężar w morza, topi się, parska jak wosk.

I idzie pomruk lwi zarytych w ziemię dział,
a oni ślepi suną żywi i martwi razem,
dłoń potrąca o pischel, serce o żeber chrzęst,
idą omackiem, ciemność macają dłońmi jak mur.
Ciężki toczy się poszum coraz to głośniejszy, już głazem,
Aż świstów, grzmotem się zwali i pęknie pieśń jak sznur: —

Nocy — śpiewają — nocy, straszliwa duszna powłoko
lepisz się gliną do stóp, a skuwasz pewniej niż stal.
Tak się wypiętrzać jak morza powała, aż ku obłokom
i runąć znowu, i runąć. Cóż pozostaje? — żal?
Żal tylko — chyba zamało — na pragnień lawinę huczącą,
Żal tylko — chyba za śpiewnie — na śmierci oddech ogromny.
Nocy straszliwa, nocy, gdzie ty się kończysz — tam
rosną jak drzewa szumiące miasta błękitne i domy.
Nocy, gdzie ty się kończysz? Bo nawet u grobu bram
płaszcz twój do rzeki podobny wieje — to rzeka stracenia.
Ziemię — odpowiedz! — śpiewali. Milczała gorzka ziemia.
I jeszcze szereg, i jeszcze, sztandarów trzepotał liść.
Aż się zwały stulecia, cisza zapadła bez przemian
jak toń spokojna i obca, nawet nie marszczył jej wiatr.
I tylko serce słyhać jak dudni, jak głuchym gra krokom,
gaśnie, podrywa się, tłucze: dokąd to? dokąd to? dokąd?

16. V. 44 r.

Oddech wiosenny

W tej porze zmierzchu woda i światło
tworzą postaci wiotkie i czyste
ciszy jezioro, po którym spływa,
jakby po nici, obłoku listek.

Wieczór, Cisza

Moje zwierzątka jak kwiaty ciepłe,
wiatr was wysiewa i rozdmuchuje

Piękno

w wielkie centaury¹⁹, lwy, które krzepną
pod powiekami, co ledwo czują,
czy to się woda przetacza górą,
czy to powietrza rozgrzane chóry.

Jakże daleko wojna i życie!
O, zapomnienie krótkie jak myśli!
Ale się czuje tę czarną chmurę
odległą tylko o drżącą szybę,
o białe żagle kwitnącej wiśni.

Moje rośliny! Pod powiekami,
ledwo je zamknę, nim się uchylą,
oddech zdobędę, spojrzę za wami,
związane z ziemią piękne motyle.

Wiem, że pod wami coraz to więdną
ciała bolesne — sprężone pręty,
że się pod wami złe armie kłębią
i że wraz z nimi omijam świętość.

Śmierć

Ale w tej porze woda i światło
tworzą postaci wiotkie i smukłe,
chyba że duchy ciężkie przefruną,
nagle uderzą, jakby się stłukły
niebios zwierciadła, obłoki runą
i znów jak woda bliźnią się miękko
pod wyciągniętą topoli ręką.

Wiem, że nim oczy zamknę, otworzę,
mogę jak pień się obrócić w popiół,
ale mi jeszcze ten oddech srebrny,
oddech muzyki, nim się zatopią
miasta i ludy, nim wrzask rozedrze
czarne niebios — jak grzmot w katedrze,
nim porośnięcie, piękne rośliny,
tańcem powiewnym, jak strumień płynnym,
domy znużone, strzaskane życie,
nim nowe ptaki w gniazdach się zlegną,
nim nowi ludzie wyrosli w ciszy
wiary swym nowym snom nie przysięgną.

Niebezpieczeństwo

14 V 44 r.

Bajka

Ludzie prości i zbrojni, więc smutni,
wchodzili na okręty omszałe;
niebo grało podobne do lutni
srebrnej chyba i kwiatem pachniało.

¹⁹centaur (mit. gr.) — stworzenie z końskimi nogami i tułowiem, na którym znajduje się ludzki tors i głowa.
[przypis edytorski]

Od uliczek rzeźbionych w cieniu
szła procesja, czy biały świt
i świergotał jak ptak na ramieniu
żywot mądry rosnących lip.

Potem morza dzieliły się, tarły
szorstką skórą bokiem o bok;
coś wchodziło, a potem marło,
nie odgadnąć: przez dzień czy rok.

Gwiazdy były nisko jak gołębie.
Ludzie smutni nachylali twarz
i szukali gwiazd prawdziwych w głębi
z tym uśmiechem, który chyba znasz.

Potem łądy się otwarły jak ramy,
góry mrucząc prowadziły pod obłok,
więc rzucali w fale nieba kamień,
żeby zmierzyć głębie nieba pod sobą.

I na wiatrów rozłożystych wydmach
sieli²⁰ drzewek młodziutkich las
i marzyli złotych dębów widma
z tym uśmiechem, który chyba znasz.

Aż wyrosły krzepkie i jasne,
jakby wody przezroczyły płaszcz,
więc patrzyli jak na serca własne
z tym uśmiechem, który chyba znasz.

No i stolarz schylał z wolna głowę
i wyciosał przez czas niedługi
dla nich wonne trumny dębowe,
a dla synów ich dębowe maczugi.
Więc odeszli. Śpiewał obcy czas.
Więc odeszli przez powietrza białe smugi
z tym uśmiechem, który dobrze znasz.

23 VI 1944

Z lasu

Las nocą rośnie jak jezior poszum.
Droga kołysze we mchu, we mchu.
Ciężkie kolumny mroku się wznoszą.
Otchłanie puste z ciemności płoszą
krzyk zły, wysoki jak ze snu.

A dołem potok ludzi i wozów
i broni chrzęst we mgle, we mgle.
Spod stóp jak morze wydęte grozą
nieujarzmiona piętrzy się ziemia

²⁰sieli — regionalna forma z gwary mazowieckiej; w języku ogólnopolskim czasownik brzmiałby: siali. [przypis edytorski]

Podróż

Drzewo

Śmierć

Las, Strach

i głosy ciemne leżą w przestrzeniach
jak to, co czeka obce i złe.

Żołnierze smukli. Twarzyczki jasne,
a moce ciemne trą się i gniołają,
łądy się łamią, sypie się złoto
i chyba pancerz ziemi za ciasny
pęka, rozsadza i grzmi, i grzmi.

Twarzyczki jasne! Na widnokręgach
armie jak cęgi gną się i kruszą.
O moi chłopcy, jakże nam świąty
odkupić jedną rozdartą duszą?

Kochać, a to się wydaje mało,
ginać — to słabość tylko wyzwolić,
bo nie nadąża chłopięce ciało,
a ciemność stoi i grzmi, i grzmi.

Las nocą rośnie. Otchłań otwiera
usta ogromne, chłonie i ssie.
To tak jak dziecko kiedy umiera
i tak jak ojciec, który żyć musi.
Przeszli, przepadli; dym tylko dusi
i krzyk wysoki we mgle, we mgle.

27 VI 1944

[Gdy za powietrza zasłoną...]

Gdy za powietrza zasłoną dłoń pocznie kształty fałdować
i czuje się wielkie ptaki rosnące za chmur kwiatami,
zmiersch schodzi lekko. A ona świeci u okna głową
jasną jak listek światła i śpiewa piosenkę ciszy.

Długą, wijącą się wstęgą głos ciepły w powietrzu stygnie,
aż jego dosięgnie w zmroku i szept przy ustach usłyszy.
«Kochany» — szumi piosenka i głowę owija mu, dzwoni
jak włosów miękkich smuga, lilie z niej pachną tak mocno,
że on, pochylony nad śmiercią, zaciska palce na broni,
wstaje i jeszcze czarny od pyłu bitwy — czuje,
że skrzypce grają w nim cicho, więc idzie ostrożnie, powoli,
jakby po nici światła, przez morze szumiące zmroku
i coraz bliższa jest miękkość podobna do białych obłoków,
aż się dopełnia przestrzeń i czuje jej głosik miękki
stojący w ciszy olbrzymiej na wyciągnięcie ręki.
«Kochany» — szumi piosenka, więc wtedy obejmą ramiona
więcej niż objąć można, kochając jedno ciało.
Dłoń wielka kształty fałduje za nieba czarną zasłoną
i kreśli na niej zwierzęta linią drżącą i białą.
A potem świt się rozlewa. Broń w kącie ostygła i czeka.
Pnie się wąż biały milczenia, przeciągły wydaje syk.
I wtedy budzą się płacząc, bo strzały pękają z daleka,
bo śnili, że dziecko poczęli całe czerwone od krwi.

Żołnierz, Młodość

Miłość, Walka

Dziecko, Krew, Strach

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/baczyński-1942-1943-1944>

Tekst opracowany na podstawie: Krzysztof Kamil Baczyński, *Utwory zebrane*, tom II, oprac. A. Kmita-Piorunowa, K. Wyka, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1994; Krzysztof Kamil Baczyński, 1942, 1943, 1944 (rękopis autora).

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Tulicka, Aleksandra Sekuła, Katarzyna Dug, Maciej Rajski, Paulina Choromańska, Paulina Dubielecka, Paweł Koziół, Sylwia Budzyńska, Wojciech Kotwica, Wojciech Szczęsny.

ISBN 978-83-288-0049-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.